



SÁNDOR  
1967 MÁRAI  
DZIENNIK  
1976

TOM  
4



CZY  
TEL  
NIK



SÁNDOR  
MÁRAI  
1967  
DZIENNIK  
1976

Wybór, przekład, opracowanie,  
przypisy i postłowie

Teresy Worowskiej

Czytelnik

Warszawa 2019

Tytuł oryginału  
*A teljes Napló*

© Heirs of Sándor Márai, Csaba Gaal (Toronto)

Projekt oklejki i karty tytułowej  
Lijklema Design. Karolina i Hans Lijklema

Na okładce wykorzystano portret fotograficzny  
Sándora Máraiego ze zbiorów  
Muzeum Literatury im. Petőfiiego w Budapeszcie

Indeks osób: Hanna Wachnowska

Redaktor prowadzący: Anna Rucińska  
Redaktor i korekta: Bianka Dziadkiewicz  
Redaktor techniczny: Hanna Bernaszuk

© Copyright for the Polish translation  
by Teresa Worowska, Warszawa 2019

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2019

ISBN 978-83-07-03448-5

1967

2 stycznia

Przed zgaszeniem lampy nocne przeglądanie książek: kilka linijek (w ostatnich tygodniach) z *Cortegiano* Castiglione'ego, potem fragment zapisków Boswella z 1770 roku, później relacja Delacroix, o czym rozmawiał po południu z Mussetem czy Chopinem... Przed czterystu, dwustu, nawet stu laty ludzie w Europie jeszcze rozmawiali. I to, o czym rozmawiali, było w europejskim życiu duchowym co najmniej takim fermentem i energią, jak to, co pisali czy malowali. W Ameryce tego brakuje, tu nie ma rozmów. Spierają się albo niechętnie o coś pytają czy odpowiadają, ale rozmów nie ma, bo tu ludzie niczego nie boją się bardziej niż odpowiedzialności związanej ze swobodnym, indywidualnym głosem własnego sądu.

W Budapeszcie było „gadanie”, coś mniej istotnego od rozmowy, coś nieporządniejszego, ale jeszcze ciągle bardziej ludzkiego od amerykańskiej „konwersacji”.

Niewychowanie Amerykanów już mnie nie zaskakuje, ale czasami trzeba to dostrzec, dla porządku, nawet bez oburzenia, ale jednak zauważyć. W tutejszej nieobyczajności najczęściej nie ma złej woli, po prostu nie umieją inaczej, tak zostali wychowani.

W liście noworocznym szwajcarski duchowny przysyła napisaną przez siebie wierszowaną naukę życiową. Jedna z linijek plastyczna – pisze, że żyć trzeba „jak drzewo, które każdego roku tworzy nowy

słów”. Ma rację, wszystko, co istotne, powstaje w taki powolny sposób, dzieło życia, samo życie... Reszta to przechwałki.

#### *4 stycznia*

Pierwsze dni nowego roku przynoszą dwa zawiadomienia o śmierci. W Budapeszcie nagle zmarł mój szwagier (73). W rodzinie uchodził za „Spartanina”, surowy ojciec rodziny, niepalący, zachowujący umiar we wszystkim. Ale nie ma miary, której można by się trzymać, śmierć nie rozpoznaje zasług, nie daje czasu na przygotowanie. Druga wiadomość – nagle zmarł nasz dozorca, Mr. Johnson, sześćdziesięcioletni mieszkaniec Harlemu, wódz plemienia składającego się z dwadzieściorga jeden dzieci i wnuków, który ze szczególnym uśmiechem, niepozwalającym zapomnieć o trzystu latach niewolnictwa, krzątał się po budynku, zamiatał i zawsze uprzejmie się kłaniał. Jego szef, gospodarz domu, wygłosił przy tej okazji krótką amerykańską mowę pogrzebową: „*He was a gentleman*”<sup>1</sup>. Tak, był nim, Murzynem, dozorcą i dżentelmenem. Po raz ostatni spotkałem go w Boże Narodzenie, dałem mu prezent, a potem widziałem go jeszcze na ulicy, jak z torbą w ręce, pogodnie uśmiechnięty wracał do domu.

Radio podaje, że grabarze nowojorscy od trzech dni strajkują, zmarli czekają na swoją kolej w chłodni. To jakby skazaniec otrzymał odroczenie, ponieważ kat zachorował na gripę.

#### *5 stycznia*

W noc sylwestrową telewizja w ramach ogłupiająco prostackiego programu pokazała nowojorczyków witających w lokalach Nowy Rok tańcem i zabawą; orkiestra dęta o nazwie „Beethoven” niejakiego Guya Lombardo przygrywała gościom w hotelu Waldorf Astoria. Przy stolikach mężczyźni we frakach i smokingach, damy w wieczorowych toaletach, niektórzy mieli na głowach karnawałowe czapki, i wszystkie

---

<sup>1</sup> *He was a gentleman* (ang.) – Był dżentelmenem.

te postaci, twarze uderzająco przypominały karykaturalnych spekulantów z albumu George'a Grosza *Das Gesicht der herrschenden Klasse*<sup>1</sup>, w którym po pierwszej wojnie światowej ten rysownik o ostrym spojrzeniu i okrutnie pewnej ręce uwiecznił z gorzką refleksją berlińską parweniuszowską elitę. Ci sami łysi, okrutni lichwiarze o sępiim spojrzeniu, te same tłuste, wyszminkowane czarownice, to samo podłe, bezduszne towarzystwo, które zabawia się na śmietniku – *Das Gesicht der klassenlosen Gesellschaft*<sup>2</sup>. Takie szumowiny wszędzie i zawsze wypływają na powierzchnię; również w Sowietach, na balach maskowych *dolce-bolsze vita*.

Pieniądz dla tego społeczeństwa jest nie wyłącznie środkiem płatniczym, lecz miarą wartości człowieka... Ukazuje nie tylko to, że ktoś wiedzie się lepiej niż innym, ma więcej szczęścia, bezwzględności czy talentu, ale mierzy samą wartość człowieka, bo tu każdy jest tylko na tyle dobry, mądry, utalentowany czy szlachetny, na ile można to wycenić w dolarach.

Zarezerwowałem bilety na samolot – jeśli wszystko dobrze się ułoży, 20 maja wyemigrujemy stąd do Europy.

Zakończyłem układ scen i scenografię *Sądu w Canudos*, przedstawienie może się zacząć. L. pyta, co „właściwie” chcę powiedzieć w tej powieści. Tylko tyle: jeśli nie ma jednostki czy wspólnoty, która jest skłonna zbuntować się przeciw Systemowi (nieważne, jakiemu, wystarczy, że posiada on mechanizm, który człowieka traktuje jak surowiec czy daną w komputerze), wówczas kończy się ludzkie zadanie na ziemi.

---

<sup>1</sup> *Das Gesicht der herrschenden Klasse* (niem.) – Oblicze klasy panującej.

<sup>2</sup> *Das Gesicht der klassenlosen Gesellschaft* (niem.) – Oblicze społeczeństwa bezklasowego.

### 11 stycznia

Przed kilkoma dniami w jednym z mieszkań na końcu naszego korytarza zmarła Madame Roberts. Wiadomość przekazała mi jej córka, Mademoiselle Roberts, która ma z górą siedemdziesiąt lat i mieszkała z matką. Dziewięćdziesięciosiedmioletnia Madame Roberts 29 grudnia poczuła się źle i zmarła. Poprzedniego wieczora jeszcze przeczytano jej biografię starszej siostry Ludwika XVI, jedynej, która przeżyła rewolucję. Obie panie są Kanadyjkami. Przed sześciu laty wróciły do Paryża, bo matka chciała „przeżyć ostatnie lata w spokoju”. Sprzedały mieszkanie, zbyły za bezcen meble. Ale prędko wróciły, nie mogły sobie znaleźć miejsca we Francji. Znów wprowadziły się do tego domu. Córka przypomina mi niewolnika z *Godota*: chodzi zgięta w pałąk, nieustannie dźwiga jakieś wielkie paczki, dużo czyta. Matka do ostatniej chwili zachowała świadomość, wszystko ją interesowało, słuchała radia.

### 14 stycznia

Przed zgaszeniem lampy Mencken. Bywa czasami przegadany, czasami znów minoderyjny, ale zawsze sympatyczny i śmiały. Nie lubił demokracji, ponieważ uważał, że „demokrata nie ma możliwości być wolnym” – jest „wolny” tylko wtedy, gdy czuje się chroniony przez tłum. Aristokrata, którego nie interesuje ani uznanie, ani obmowa tłumem, jest wolny nawet w więzieniu, ale plutokrata, którego w demokracji *mob*<sup>1</sup> posadził na miejscu arystokraty, zawsze musi się trząść z obawy, co o nim ten *mob* mówi. Z kaznodziejskim gniewem Mencken piętnuje fakt, że pierwszym refleksem człowieka tłumem, tego „ciepłokrwistego ssaka”, jest strach: boi się, że kto inny może się okazać bardziej oryginalny, swoisty, indywidualny. Ale w swoim demokratycznym poczuciu niższości i psychozie strachu *mob* potrzebuje jednocześnie mitologii, półbogów, których mógłby w zachwycie podziwiać; dlatego w amerykańskich czasopismach wynaleziono dział plotek towarzyskich, w którym donoszą, gdzie, kiedy, jak i z kim spędzają czas wolny idole tłumem. Zalicza do nich rozjeżdżających się cadillacami przywódców związków zawodowych, socjalistów pobierających pensje wysokości stu tysięcy

---

<sup>1</sup> *Mob* (ang.) – motłoch.



dolarów – dają oni tłumom iluzję hierarchii. Mencken był wybitnym umysłem, dziś już nikt z piszących w Ameryce nie potrafi postawić tak dokładnej diagnozy.

A tymczasem nowojorscy grabarze strajkują dalej. Tygodniowo umiera tu średnio tysiąc osiemset osób, trzyma się ich teraz w chłodni, póki trwają negocjacje. U Szekspira grabarze byli jednak pogodniejsi i bardziej ludzcy.

Podsumowanie minionych piętnastu amerykańskich lat i tutejszych ludzi, Radia Wolna Europa, życia umysłowego: byłem zmuszony żyć w niegodnym, prostackim otoczeniu. Amen.

Komunizm upadł, i to w każdym sensie tego słowa. Ale od komunistów trudno będzie się uwolnić, bo nikt nie jest tak uparty i niebezpieczny, jak beneficjent upadłej idei, który już nie jej broni, lecz własnego życia i łupu.

Uczę się włoskiego, książkę Castiglione mam za podręcznik. Jak w celi skazańców.

„Emerytura”. Dla innych to chwila, gdy mogą odsapnąć: „Wreszcie nie muszę pracować”. Dla mnie chwila, w której mogę westchnąć: „Wreszcie – może – będę mógł pracować”.

Za zwyczajnym, pospolitym, obrzydłym i głupim odwiecznie ukrywa się coś czarodziejskiego, niepojętego, zaskakującego. Nawet starość nie otepia istoty żywej do tego stopnia, by czasami tego nie dostrzegała.

7 lutego

Śnieżycą. Arktyczna burza śnieżna. Minus piętnaście stopni Celsjusza. János mówi przez telefon, że na Alasce to przyjemna, wiosenna pogoda, bo tam nierzadko jest minus czterdzieści. Przeżył to w ciągu trzech lat.

To nieprawda, że nie odczuwam żadnego niepokoju, kiedy myślę o tym, że za trzy miesiące wyjedziemy stąd, zostawimy to szalenie drogie i dusząco beznadziejne, ale jednak dające jakieś schronienie i już znajome życie, mieszkanie. Jesteśmy starzy, perspektywa zmiany budzi lęk. I nigdzie nikogo. Ale zdrada i perwersyjny przymus nazywany drożyzną, ten przymus wygodnego życia skłania nas do wyjazdu. W Salerno, posiadając własne lokum, utrzymamy się bez problemu za to, co tu płacę tylko za mieszkanie (sto pięćdziesiąt dolarów). A w Ameryce właściwie nie mamy nic wspólnego z niczym i nikim. I choć tam też nie – trzeba jednak jechać, nie wolno się bać. Jeśli pozostało nam jeszcze trochę czasu, to tam w każdym razie jest coś znajomego. A tu jestem haniebnie opuszczony przez wszystkich i wszystko. Tu ludzie żyją obok siebie, szczerząc zęby na innych i chorobliwie nie cierpiąc się nawzajem, w odrębnych małych gettach, w bojaźni, przerażeni perspektywą bliskości. Tam wygląda to jednak inaczej – „tam”, to znaczy w Italii czy Austrii. Wielu wróciło po piętnastoletnim pobycie w Ameryce: Thomas Mann, niedawno Schuschnigg, Fritz von Unruh, stary Menyhért Lengyel<sup>1</sup>; i wszyscy byli starsi ode mnie, kiedy się na to zdecydowali. Ale to jednak trudne. Starość to zmęczenie. Ale znów pozostać tu, w emeryckim koszu na śmieci (tam z tej emerytury można wyżyć), dorabiać parę groszy jakimś prostym zajęciem dla starych ludzi oznaczałoby znaleźć się w szponach władzy tutejszego systemu, a tego udało mi się przez piętnaście lat uniknąć. Więc jednak, choć to bardzo trudne, trzeba jechać. Nawet kabała tak podpowiada.

---

<sup>1</sup> Kurt Schuschnigg (1897–1977) – polityk, kanclerz Austrii w latach 1934–1938; Fritz von Unruh (1885–1970) – niemiecki dramaturg, poeta ekspresjonistyczny; Menyhért Lengyel (1880–1974) – pisarz, publicysta, człowiek teatru.

Wiersze zebrane Ezry Pounda, od 1900 po dziś. Czasami jakiś zaskakujący, migotliwy wers czy pomysł. Ale wiele wysiłonych, rozrzedzonych, sztucznych wierszydeł. U Eliota w każdym wersie jest prąd, każde jego słowo ma swoją wagę jak dzwon opadły na dno, którego dźwięk dobiega z głębin. Głos Pounda brzmi jak głos podrostka, z mutacyjnym brzmieniem. Są tacy pisarze, poeci – Pound, Joyce – którzy inspirują nie przez to, co piszą, tylko przez to, że odrzucają, wysadzają w powietrze obowiązujące dotychczas normy pisania, przekazywania, wyrażania. Nie mają dzieła – mają tylko zadanie, rolę.

Mencken prędko mnie zniechęca. Zawsze jest „odważny”, ale trochę tak jak matador, który wie, że byk nie ma dokąd uciec; drażni tematem – kobiet, mężczyzn, łgarstw wokół seksu, w ogóle i zawsze wszelkich drobnomieszczańskich, prostackich kłamstw, których wodorosty oblepiają życie Amerykanów – a potem dumnie przekłują go. To nie takie trudne. Do tego, co zamierza przekłuć, podchodzi bez skrępowania, przejęcia czy nabożności, ponieważ wie, że ofiara, czyli Przesąd, w żaden sposób nie zdoła obronić się przed jego mistrzowskim ciosem, nigdy też wielkodusznie nie daje Przesądowi szansy wypowiedzenia się we własnej obronie, wyjaśnienia, z czego i dlaczego powstał. W tej wyższości jest coś taniego. Zawsze jest dowcipny i mądry; ma rację, kiedy tak szczerze pogardza tym, o czym mówi: amerykańskim systemem społecznym. Nie ma racji, kiedy – zawsze – mówi o „mężczyznach”, „kobietach”, „duchownych”, „snobach”, „głupcach”. Bo za nimi za każdym razem kryje się konkretny człowiek, nie tylko taki czy siaki, ale również „on”, ten pojedynczy. I o tym konkretnym człowieku, który kryje się gdzieś za każdym z rozmaitych typów, Mencken nigdy nie mówi.

### *11 lutego*

Otrzymałem pierwszy czek emerytury. Sto dwadzieścia sześć dolarów i trzydzieści centów. Per saldo jestem zadowolony.

Radio o każdej godzinie wykrzykuje informacje o Chinach. Mao, Czerwona Gwardia, armia, w tle starzy, pozytywistyczni komuniści, Liu Szao-ci, „człowiek bez twarzy”. Który reprezentuje zasadę *yang*, zasadę pozytywizmu, w przeciwieństwie do *yin*, idealistycznego szaleństwa Mao. W tych tygodniach książka Bodarda<sup>1</sup> jest zdumiewającą lekturą. Opublikowano ją w 1961, przed pięciu laty. Wszystko, o czym pisze, co przewidział, dziś się urzeczywistnia. Niewiele znam książek, które rzeczywistość potwierdziłaby tak dokładnie, jak tę przerażającą i fantastyczną relację o tym, że ludzki materiał daje się kształtować w niewyobrażalny sposób. Za pięćdziesiąt lat Chiny mogą się stać prawdziwym końcem ludzkiego świata: obecne całkowite załamanie gospodarcze, upadek komun i komunizmu, upokarzanie inteligencji i zmuszanie jej, by służyła partii, eksperyment, w którym ludzi pozbawiano rodzin, rozdzielano małżeństwa, odbierano dzieci rodzicom, kurczęta karmiono ciałami zmarłych, wydobywano z grobów i mielono na proch kości nieboszczyków, by ich fosforem użyźnić glebę, całe to wykalkulowane na zimno szaleństwo nie zmienia faktu, że siedemset milionów czy więcej ludzi zdobędzie teraz środki techniczne i wyruszy przeciw Azji, Pacyfikowi, przeciw światu.

Napisałem i nagrałem na taśmę ostatni wykład, który jeszcze wysłę do Wolnej Europy. Nie chcę się już dalej tym zajmować. To było wielkie zadanie, z ciekawym i bolesnym początkiem. A potem zrobił się z tego głupi i ordynarny przemysł. Wystarczy; trwało to i tak dłużej, niż powinno.

Starość: nieustanna kontrola, na ile mamy jeszcze żywą łączność z otaczającym światem.

Chiny. Może w końcu *yin* jest większą siłą niż *yang*? Emocje są bardziej stałą energią od rozumu.

---

<sup>1</sup> Lucien Bodard: *La Chine du cauchemar*, 1961.

Możliwe, że wydarzenia chińskie i wojna wietnamska są ostatnim etapem rewolucyjnych ruchów tego wieku: epoki romantycznej utopii, kiedy chciano zmienić los mas ludzkich na barykadach i drogą nacjonalistycznych „walk wyzwoleńczych”. Rostow, jeden z zajmujących się polityką zagraniczną mędrców Białego Domu, powiedział w Londynie, że nastąpił koniec epoki romantycznej i teraz zaczyna się *yang*, epoka pozytywistyczna, to jest czas inżynierów i komputerów. Zamiast rewolucjonisty i bomby – nawozy sztuczne i antybiotyki.

### *5 marca*

Przed południem, kiedy wracałem metrem od dentysty, znów chwila szoku: uciekać stąd, jak zaplanowaliśmy. Czułem to samo, gdy z Paryża mieliśmy wracać do Budapesztu. I kiedy w marcu 1944 opuściliśmy ulicę Mikó. Latem 1948 roku, kiedy wyemigrowaliśmy z Węgier, w 1952, kiedy szykowaliśmy się do Ameryki. Chwila zmiany biegu, kiedy człowiek wie: coś dojrzało, nie sposób tego dalej ciągnąć. Teraz też: wyjechać stąd, wrócić do Europy. Nic tam na nas nie czeka, ale tu tym bardziej nic nas nie wiąże. Najbardziej brakuje mi radości. To bezzadostny kraj, radość myślą tu z rozrywką, sukces traktują jak zaspokojenie i zadośćuczynienie, niezależnie od tego, za jaką cenę i na jakich warunkach został osiągnięty, a człowiek jest w gruncie rzeczy tylko na tyle człowiekiem, na ile można to wycenić w dolarach. Możliwe, że w Europie też jest już taka atmosfera... Ale stąd trzeba wyjechać.

W „National Review” artykuł o sprawach CIA: progresiści, czyli inteligencja liberalna, przekonali urzędników CIA, że tylko oni są w stanie poprowadzić Wielki Dialog z komunistami, bo przecież kto jest „antykomunistą”, jest też niewątpliwie „faszystą” (to obowiązkowa łątka, każdemu ją przypinają), podczas gdy oni, progresywni liberałowie, nie będąc „antykomunistami”, pozostają wiarygodni w oczach narodów zza żelaznej kurtyny, nie chcą bowiem zlikwidować systemu sowieckiego, tylko go zmienić, naprawić. Dzięki temu żelazna kurtyna zniknie, a komunizm, który pozostanie, nie będzie już niebezpieczny,

da się z nim współpracować, koegzystować. CIA, a potem oficjalne koła Ameryki przyjęły koncepcję progresywnych liberałów jako jedynych powołanych do prowadzenia Wielkiego Dialogu; CIA, nie licząc się z kosztami, futrowała pieniędzmi tych niedomytych okularników, nie-antykomunistycznych postępowców: jeden milion dolarów dla związku zawodowego dziennikarzy, miliony dla lewicowych organizacji studenckich, dla Free Europe (skąd kolejno wygryzano wszystkich, których można było posądzić o nastawienie antykomunistyczne, a więc ostatnio również mnie), na rozmaite lewicowe kongresy i spotkania; postępowi inteligeni traktowali sekretne fundusze CIA jak kasę domową, z której, powołując się na konieczność budowania mostów, zawsze można spróbować wyciągnąć pieniądze na podróże i osobiste potrzeby – i zawsze je dostawali. Roli „inteligencji” w tak zwanej zimnej wojnie nie wyjaśniono dotąd całkowicie; ale to towarzystwo z piekła rodem okazuje się jeszcze bardziej niebezpieczne niż komuniści, którzy są przy najmniej widzialnym wrogiem.

Jaki wzór społeczny, gospodarczy, polityczny urzeczywistniłby się na Węgrzech dziś, po trwającym dwadzieścia dwa lata komunistycznym eksperymencie, który zbankrutował, gdyby narodowi węgierskiemu zwrócono prawo samostanowienia? Ze społecznych urządzeń przeszłości prawdopodobnie żaden. Może jakiś związkowy burżuazyjny socjalizm; tak, to najbardziej prawdopodobne.

Ödön von Horváth: *Gesammelte Werke*. Mój rówieśnik, młodszy o rok. Wywodził się z drobnej szlachty, z warstwy obywatelskiej, jego ojciec był urzędnikiem ministerstwa spraw zagranicznych, chodził do Rakocianum, jak ja, potem odnosił sukcesy w weimarskich Niemczech, jak Reinhardt, i w wieku trzydziestu ośmiu lat, już w czasach hitlerowskich, kiedy mieszkał w Paryżu, pewnego popołudnia podczas gwałtownej burzy zginął przywalony złamanym drzewem platana na Rond Point. Dziwne, że tego zdolnego człowieka właściwie nie znano na Węgrzech, jego książki nie ukazywały się po węgiersku, sztuk nie grano w Peszcie. Był naturalnie „lewicowy”, ale na Węgrzech w cza-

sach Horthyego<sup>1</sup> lewicowcy też dochodzili do głosu. Znikł jak poeta Békássy (na którym przynajmniej poznał się Babits) czy później młody Görgey – i w tym zniknięciu jest coś upiornego.

Chwile, w których plastycznie, wyraźnie widać: „Trzeba zrobić tak a tak”. Z anarchii wyłania się porządek dnia, podobnie jak z Chaosu – Harmonia. Ta dwoistość jest jednocześnie i kosmiczna, i osobista.

### *9 marca*

Wiosna. Nie widać ani jednego pączka, powietrze ma jeszcze zapach śniegu i smak burzy. Ale gdzieś coś już się poruszyło, odwróciło.

Pisarz, który sądzi, że „postawą” nadrobi wielkie, ważne dzieła w swojej twórczości, myli się. Postawa nie zastępuje dzieł. Ale bez postawy nie rodzą się wielkie dzieła.

Amerykańska choroba: kompleks niższości i kompleks pieniądza. Amerykanin boi się, że okaże się kimś mniej wartościowym, niż w rzeczywistości jest, czy na jakiego chciałby wyglądać. To strach demokracji, który arogancją i obawą zastępuje brak naturalnej hierarchii. I kompleks pieniądza, *morbus americanus*: przekonanie, że człowiek w swojej ludzkiej naturze jest wart więcej, jeśli ma pieniądze, niż jeśli ich nie ma i jest „tylko mądry albo ma charakter”. Po piętnastu latach wyjeżdżam stąd z pamięcią o tych dwóch amerykańskich chorobach. Sądzę, że nie złapałem żadnej z nich.

### *10 marca*

Rysunki Goi (gwasze i litografie) w Metropolitan. Cztery tuziny z czterystu, które przed czterema laty widziałem w Prado. Jakby w ogó-

---

<sup>1</sup>Miklós Horthy – regent Węgier od 1920 do 1944 roku.

le nie patrzył na karton, na którym – idąc ulicą czy stojąc w bramie – szkicował postać czy scenę. Podobnie jak fotograf, który nie patrzy na aparat fotograficzny, tylko na model. Jego ręka malowała jakby sama, ze świadomością i pewnością – podczas gdy on, Goya, tylko obserwował. I nigdy nie był zmęczony, gdy jakby od niechcenia kreślił starego żebraka, który w prawej ręce trzyma żebraczy kij, i zaraz potem innego, który ten kij ściska w lewej. Nigdy nie był rozproszony, kiedy portretował, nie przerysowywał ani jednego gestu, miny; soczewka leiki nie jest bardziej bezlitosna i dokładna od tego głuchego malarza, który spacerował po Madrycie ze szkicownikiem. I zawsze ten gorzki uśmiech, z jakim patrzył na świat, ludzi, ludzką głupotę, beznadziejność i okrucieństwo; patrzył z odrazą i pogardą, ale jak zahipnotyzowany, bo nie mógł nie patrzeć. Tak trzeba pisać, z dokładnością tych gwaszy: zamiast linii i odcienia – słowem, jedynym pasującym słowem, przydawką, podmiotem i orzeczeniem; i zawsze dokładnie to, co tam potrzebne.

Na korytarzach muzeum modele Goi: kobiece twarze w stanie rozpadu, koślawi i niezgrabni młodzi i starzy, snujące się postaci w zwirowanych łachach.

Kiereński. Mieszka tu, kilka ulic dalej. Ma ponad osiemdziesiątkę. Wypowiadał się przy okazji pięćdziesiątej rocznicy rewolucji październikowej, mówił, że komunizm pożera siebie samego. To prawda. Ale co do tego czasu?... Wezwanie Mao: zniszczcie Rodzinę, wszelkie dawne Instytucje, Sztukę i Miłość, rozwalcie Chiny, bo to rewolucja. Ma rację, to rewolucja, nie da się inaczej. W Sowieciech właśnie próbują złożyć w całość skorupę na śmietniku tego rozbitego świata.

Jednym ze zjawisk towarzyszących starości jest ustawiczne, falujące powracanie trudnych wspomnień, które w dawniejszych latach świadomość zasnuła mgłą zapomnienia, mroku czy zbagatelizowała. Te wspomnienia „gdzieś” były – i na starość nagle okazuje się, że żyły swoim życiem w cieniu, w szczelinie świadomości, i żyły z wielką siłą. Nie przekonuje mnie to, co Freud – ten uczciwy i tworzący w dobrej wierze, lecz niezbyt oryginalny myśliciel – oparł na tym zjawisku: teorię



o podświadomości wywołującej neurozę. Wspomnienia pozostają, powracają, ale nie wywołują neurozy; raczej tylko zaskoczenie.

Wielka ulga, że nie piszę już odczytów dla Radia Wolna Europa. Inaczej czytam i piszę, odkąd porzuciłem to nieszczęsne zajęcie – czuję się wręcz innym człowiekiem. Nie mogłem zrobić nic innego, ale od pierwszej chwili nie lubiłem tej pracy.

Szron, marcowa pogoda, kiedy wiatr i zimno są tak bolesne, jakby człowiek chodził nago. Na starość zima zdumiewająco wyniszcza człowieka.

Wiadomość prasowa, że w Nowym Jorku strajkują nauczyciele, ponieważ boją się dzieci, które biją nieposłusznych nauczycieli.

*18 marca*

Przed dwudziestu trzema laty w niezniszczonym mieszkaniu przy ulicy Mikó odbyła się ostatnia imieninowa kolacja, na której zebrała się cała rodzina. Dziś brakuje już trzech osób: matki, ciotki Żuli i szwagra Gyuli.

Minus piętnaście stopni. Mróz to największa kara. Upał jest niebezpieczny, ale ekscytujący, owszem, wywołuje nawet euforię. Mróz tylko dręczy. Jeśli piekło istnieje, jest zimne, nie gorące.

W jednym z pokoi na piętnastym piętrze modnego ostatnio hotelu Hilton znaleziono martwego lekarza weterynarii, który przyjechał z Massachusetts na kongres. To był sześćdziesięcioletni mężczyzna, ojciec czwórki dzieci, wzór obywatela. Został uduszony, ręce i nogi związane mu krawatem. Takie homoseksualne tragedie są tu na porządku dziennym.

*19 marca*

Nadchodzi taki wiek – jak na przykład teraz mój – w którym świadomość wypełnia się całkowicie pojęciem śmierci; nawet codzienność odbiera się przez jej pryzmat, zwykła rzeczywistość, wszelkie jej odmiany są uświadamiane tylko o tyle, o ile mają jakiś „sens” w ramach perspektywy śmierci. A wspomnienia, które docierają do świadomości z coraz głębszych warstw, z coraz bardziej daleka, wydają się takie, jakbym już umarł i jakby ktoś inny myślał o tym czy owym w związku z moją osobą. I w tym wszystkim nie ma nic przerażającego.

Na przykład w nocy: „Śniła mi się Brazylia...”. Ale nigdy nie widziałem Brazylii, i nie zobaczę jej, ponieważ umrę.

*21 marca*

W nocy o 2.37 rozpoczęła się wiosna. Nie spałem jeszcze, ale nic nie zauważyłem.

Młody pisarz: „Słyszałem ciekawą historię. Opowiedzieć panu?” – Stary pisarz: „Nie. Niech pan ją pierwszej napisze”.

Otrzymuję kartkę od nieznanego. Mieszka w Wiedniu, przebywał w Nowym Jorku, znalazł mój adres i napisał mi tylko tyle: cieszy się, że jeszcze żyję. Ja też się z tego cieszę, czasami.

Starość. Prawdziwą chorobą człowieka starego jest nie bezradność, tylko brak humoru. Trzustka jeszcze wydziela – ale już w znużeniu, apatycznie.

Wytrwale wietrzą skandal w CIA: ta instytucja stała się w ostatnich latach schronieniem dla liberalnych, lewicowych intelektualistów, którzy ukrywali się pod tym liściem figowym. Free Europe też było taką kryjówką dla lewicowych młodzieńców z CIA. Wszystko gnije – fakt, że nie tylko tu.

Wietnam. Telewizja codziennie nadaje – *live*, bezpośrednio, w całej dosłowności – wojenne koszmary w tropikalnej dżungli. Pierwszy raz w historii ludzie, trawiąc właśnie zjedzoną kolację, w czasie rzeczywistym widzą ten koszmar, który z udziałem ich ojców i synów rozgrywa się w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów. Obrazy wojenne bez żadnego przejścia przerywają reklamy karmy dla psów i wody do ust.

Wietnam jest beczką bez dna; ten fakt może mieć wpływ na wiele rzeczy. Wszystko może pozostać tak, jak jest, i przez dalszych trzydzieści lat amerykańscy chłopcy rok po roku, kropla po kropli będą się tam wykrwawiać, a jednocześnie nie będzie zezwolenia na to, by siły powietrzne zlikwidowały stanowiska wojsk północnowietnamskich, chińskich, rosyjskich, bo w istocie nie chcą zakończyć tej wojny. Możliwe, że wokół – w Syjamie, Laosie, Kambodży – zostanie zbudowana linia frontu, która w rejonie Pacyfiku stanie się na dziesięciolecia wałem obronnym, a jednocześnie pozostawią Rosjanom europejskie *status quo*. Możliwe też, że przez wzgląd na wybory w 1968 roku Johnson będzie zmuszony rzucić do walki lotnictwo wojskowe, nie licząc się z tym, co na to powiedzą Rosjanie, którzy dostarczają broń Wietkongowi. A może naród amerykański zrozumie, że prasa amerykańska stosuje podwójną miarę, gdy chrypi, że bomby amerykańskie zabijają żołnierzy Wietkongu, ale milczy, gdy terroryści wietnamscy dokonują bestialskich czynów; i to samo dotyczy sytuacji, w której rząd amerykański buduje w Europie „most” do Sowietów, a jednocześnie bombarduje mosty w Wietnamie Północnym, któremu Rosjanie dostarczają broń do dalszego prowadzenia wojny. Wszystko jest możliwe.

Te codzienne, cogodzinne, wspomniane mimochodem nowojorskie morderstwa. Zabijają, jakby wypalali papierosa.

2 kwietnia

Mojżesz. Jego obietnice i groźby. Był „obcy”, widział jaśniej, wiedział, do kogo mówi.

Goethe. Wieczne źródło; źródło siły, mądrości, uspokojenia, ufności. W tym człowieku było znacznie więcej siły niż w jego dziele.

5 kwietnia

Wydaje mi się, że ostro, wyraźnie widzę własną matkę: istotę, strukturę jej osobowości. Ojca „nie widzę”: kim był, co zasłaniała broda czy tusza? Jego obraz jest we mnie niewyraźny.

Wilder. Ma siedemdziesiąt lat. Po dziesięciu latach milczenia napisał powieść: *The Eighth Day*. Według recenzji (książki jeszcze nie czytałem) to rzecz napisana z mocą, trzymająca się kupy, nie sklerotyczna. Pisze o tym, że Stworzenie nie zakończyło się siódmego dnia, człowiek – zawsze – zaczyna Stworzenie od nowa; następuje więc i ósmy dzień. To temat Teilharda de Chardin. Przez życie każdego pisarza przewija się ten sam problem. Problemem Wildera jest Opatrzność, której nie ma. Ale pewnie różnaitość kolorów czy linii tworzy jakiś wspólny rysunek, który jest sensowny. To dobry pisarz, jedyny spośród pisarzy amerykańskich, który wie, że pisanie jest stwarzaniem magicznego oddziaływania.

„Literatury amerykańskiej” – w takim sensie, w jakim przed wiekiem żądali jej Thoreau, Whitman i inni, a więc literatury, która wyraża kontynentalną świadomość wielkiej wspólnoty, stan ducha *homo americanus* – dziś już nie ma. Zamiast niej powstaje coś w rodzaju literatury getta: pracowici pisarze z drobiazgową precyzją opisują życie amerykańskiego (włoskiego, irlandzkiego, żydowskiego, murzyńskiego, węgierskiego) getta, donoszą, jak kochają i nienawidzą, jedzą i spółkują, realizują się i niszczą ich bohaterowie w amerykańskim getcie... Ten współczesny folklor getta zastępuje teraz w literaturze amerykańskiej kontynentalną perspektywę i łotrzykowską romantykę.

Po piętnastu latach pobytu wyemigrować z Ameryki do Europy. Życ niezależnie. Napisać, co chcę jeszcze napisać. Wydawać i osobiście kolportować, co napiszę. To zadanie na resztę życia.

Pisarze. Tu już nie wiedzą, kto jest pisarzem. Mylą go z kupcem pomysłów i handlarzem słów. Kupcy pomysłów kradną je – dniem i nocą, gdzie się da – a handlarze słów sprzedają kradzione pomysły w stutysięcznych seriach słów. To tu uważa się za literaturę. I tylko gdzieś, gdzie, jak pustelnik na odludziu, trafia się pisarz – na przykład Wilder, który przez trzy dziesięciolecia brał udział w tak zwanym „życiu literackim”, a potem, zbliżając się do siedemdziesiątki, uciekł z Connecticut, zamieszkał w Arizonie, gdzie – jak pisał – „rzadko się goli” i z nikim nie rozmawia.

Krúdy<sup>1</sup> po niemiecku. Przekład jest żywy, wierny, Krúdyowski. A jednocześnie przygnębiający. Bo dzięki niemieckiemu tłumaczeniu czytelnik węgierski spostrzega, że nie sposób przełożyć właśnie tego, co jest charakterystyczne dla prozy Krúdyego: parodii. Sposobu, w jaki ten wielki pisarz opowiadał o wszystkim i o wszystkich: tonu wiecznej ironii. Zakładał współnictwo czytelnika, wierzył, że autor i czytelnik razem będą się śmieli z tego wszystkiego, co pisarz mówi o kobietach i mężczyznach, a także z tego, jak o nich mówi. Kiedy bohaterowie Krúdyego wzdychają, przewracają oczami, wyznają z patosem swoje uczucia, pisarz przypuszcza, że czytelnik wie: wszystko to tylko parodia rzeczywistości. I właśnie to jest czarodziejskie w utworach Krúdyego po węgiersku. Tymczasem obcy czytelnik wszystko odbiera jak coś rzeczywistego, prawdziwego – a wtedy cały zamiar pisarza bierze w łeb. Niemiecki Krúdy jest beznadziejnym nieporozumieniem, podobnie jak Proust po węgiersku, w tekście brakuje tego błysku oka, porozumiewawczego znaku, współnictwa z francuszczyzną.

---

<sup>1</sup> Gyula Krúdy (1878–1933) – pisarz tworzący poza wszelkimi kierunkami, ukochany autor Máraiego i jego mistrz.

W chwilach zmian istotnych życiowo wszystko w przedziwny sposób samo się układa, „wskakuje na swoje miejsce”, staje się aktualne, dojrzewa, nawet drobne, przypadkowe szczegóły. Ostatnio często to obserwuję.

*7 kwietnia*

Dziś mijają dwadzieścia osiem lat od pogrzebu synka. Za dwa lata grób zostanie zlikwidowany.

W chwili pożegnania nie pomylić Ameryki z tym, co tu przeżyłem i poznałem. Jest tu też coś innego, ale nie spotkałem się z tym.

Wyjeżdżam stąd z żalem, że nie udało mi się dotrzeć do środkowego, prawdziwego Meksyku. Żałuję tego. Ale niewykluczone, że nawet i to się kiedyś zrealizuje. Nie ma nic niemożliwego.

*9 kwietnia*

János. Przyjeżdża na dwadzieścia cztery godziny (droga w obie strony to osiemset kilometrów i sam prowadził), przywozi mi urodzinowy prezent: fajkę z pianki o bursztynowym cybuchu. Jest życzliwy, uczciwy, ale otacza go jakaś aura smutku. Tylko jego mi będzie brakowało, gdy stąd wyjedziemy.

*11 kwietnia*

LXVII. Rankiem dzwoni Z. i pyta: „No i jak to jest?”. Odpowiedź: „Tak sobie”. Nic więcej. Nic mniej. Nic lepiej. Nic gorzej. Dokładnie „tak sobie”.

Dziennik Ionesco, autora pantomim słownych, Rumuna, który żyje w Paryżu. Pisarz starzeje się, boi się śmierci, ucieka w sanatoria i psy-

choanalizę. Jedno szczere zdanie: „Kiedy się nie boję, nudzę się”. Wiele tak czuje.

W Bibliotece Morgana rysunki artystów włoskich z siedemnastego wieku. Reni, Bernini, Carpaccio i jeszcze inni: rysowali tak, jak my dziś rozmawiamy.

### *13 kwietnia*

Pierwszego dnia sześćdziesiątego ósmego roku mego życia w południe, podczas obiadu łamie mi się ząb. Ząb ważny strategicznie, ponieważ spoczywa na nim sąsiednia korona. To poważna starość, zużycie tkanek. Choroba i śmierć nie są starością, tylko szansą. Starość to właśnie to – w organizmie człowieka coś się kruszy, odłamuje, każdego dnia, nie tylko zęby, ale też włosy, paznokcie, z dnia na dzień ubywa tkanek. Starość jest powolnym, codziennym umieraniem. Jestem w środku tego procesu, muszę przywyknąć.

A więc natychmiast wsiadam do metra i po godzinnej podróży zgłaszam się u dentysty. Ten święty, kulturalny, szlachetny stary człowiek, żydowski lekarz, który był w Auschwitz, tanio liczy za wizytę. O czwartej po południu poczekalnia przed gabinetem pełna jest ortodoksyjnych Żydówek w perukach, do których później dołączają powracający ze szkoły czy z pracy młodzi pejsaci bachurzy. W małym przedpokoju, który służy za poczekalnię, ciśnie się nas dziesięć osób. Okno zamknięte, powietrze i zapachy jak w klatce lwa. Każdy pacjent spędza około godziny w gabinecie lekarza, który jest już stary, drżą mu ręce, pracuje powoli, ale przyjmuje od siódmej rano do północy. Jakby uczynił jakiś ślub, żeby tak pracować – może dlatego, że udało mu się przetrwać Auschwitz. Wśród nowojorskich dentystycznych oszustów, którzy za ciężkie pieniądze wykonują zbędne zabiegi, to jedyny człowiek, o którym wiem, że nie zrobi nic niepotrzebnego. Desperacką szarżą wchodzę do gabinetu pomiędzy jednym a drugim pacjentem, w przeciwnym razie musiałbym czekać na swoją kolej do północy – i dentysta uwalnia mnie od złamanego zęba. Prolog nowego roku życia zgodny z regułami gatunku.

„Przed południem, kiedy wracałem metrem od dentysty, znów chwila szoku: uciekać stąd, jak zaplanowaliśmy. Czułem to samo, gdy z Paryża mieliśmy wracać do Budapesztu. I kiedy w marcu 1944 opuściliśmy ulicę Mikó. Latem 1948 roku, kiedy wyemigrowaliśmy z Węgier, w 1952, kiedy szykowaliśmy się do Ameryki. Chwila zmiany biegu, kiedy człowiek wie: coś dojrzało, nie sposób tego dalej ciągnąć”.

(fragment)

Sándor Márai (1900–1989) – wybitny węgierski prozaik i eseista, znany polskiemu czytelnikowi m.in. jako autor *Żaru*, *Księgi ziół*, *Wyznań patrycjusza*, a przede wszystkim *Dziennika*, pełnego wnikliwych zapisków o świecie, społeczeństwie, polityce, krajach, w których żył i które zwiedzał, o swoich lekturach i o procesach zachodzących w kulturze na obu półkulach.

*Dziennik 1967–1976* – tom czwarty – opowiada o latach spędzonych w Europie, dokąd Márai powrócił w maju 1967 roku. Napisał tu kilka ważnych książek, podróżował po Austrii i Włoszech, odwiedzał również przybranego syna Jánosa w Ameryce. Pod wieloma względami był to dla niego ciekawy i twórczy okres.

W ukochanej Italii odnalazł się łatwo, z radością odkrywał znajome rysy miejscowej specyfiki, swoistą odrębność tamtejszych form życia, zwyczajów i więzi między ludźmi. Z czasem jednak z rosnącym smutkiem musiał dostrzec rozmaite skutki długotrwałego kryzysu politycznego we Włoszech: ogólne rozprężenie, akty terroryzmu, dramatyczny upadek kapitału społecznego, zmianę nastrojów, zjawiska, które wskazywały, że państwo zmierza ku coraz większej dezorganizacji i życie codzienne będzie tu coraz trudniejsze.

A ponieważ w tych latach kłopoty ze zdrowiem – również ze zdrowiem żony Loli – zaczęły się pojawiać coraz częściej, w Máraim powoli dojrzywała decyzja ostatecznego powrotu do Ameryki.

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

ISBN 978-83-07-03448-5



DOSTĘPNA TEŻ JAKO  
**E-BOOK**

9 788307 034485